



Urodziłem się 16 lutego 1928 r. w Zemborzycach. Rodzice moi byli małorolnymi gospodarzami; posiadali niecałe trzy hektary ziemi. Miałem siostrę starszą od siebie. Wyszła za mąż i w okresie wojny była już poza naszym rodzinnym domem, a ja mieszkalem w tym czasie z rodzicami w Zemborzycach. W 1943 r. zostałem wyznaczony na roboty do Niemiec i by się uchronić od wywózki, musiałem się gdzieś skryć. Przebywałem przeważnie w sąsiedniej wsi, w Krężnicy. Ukrywałem się u tamtejszych gospodarzy, m. in. u Ochowskiego, Gładysza i innych. Pół Krężnicy, to moja rodzina, z matki strony. Stanisław Szuster jest żonaty z moją wujeczną siostrą. On był w AK, w tamtejszej placówce. Gładysze, to też moja rodzina. Dalsza - co prawda - ale rodzina. Kazik Kukuryka też. Byłem tam wobec tego mile przyjmowany, lubiany, nikt mi krzywdy nie robił. Gdziekolwiek zaszedłem, byłem jak swój, jak członek rodziny.

Paweł Ochowski mówił kiedyś do mnie: - „Ty tak za długo tutaj beczynnie nie siedź, bo to podejrzanie wygląda. Dobrze by było, jakbyś się zameldował u komendanta placówki.” Właśnie on mnie umówił z „Mirem”, przedstawił mnie. Okazało się, że ojciec „Mira” znał bardzo dobrze mojego ojca. Ja też znałem jego ojca. Tak trafiłem do konspiracji; było to latem 1943 roku. Zostałem żołnierzem Armii Krajowej na placówce w Krężnicy Jarej, której komendantem był „Mir” - Krzysztof Goliński. Po nawiązaniu bliższego kontaktu z „Mirem” rozpocząłem działalność konspiracyjną. Uczestniczyłem w kolportażu wydawnictw konspiracyjnych, podcinaniu słupów telefonicznych. Brałem także udział w wysadzeniu mostku kolejowego między Zemborzycami a Krężnicą.

Rodzina „Mira” - rodzice i brat, byli to bardzo porządni ludzie. Ojciec był organistą w Krężnicy. „Mir” był bardzo dobrym organizatorem. Był odemnie starszy, miał przeszkolenie wojskowe. Zginął pod Bychawą. Pojechał tam i natknął się na żandarmów. Poza nim zginął tam mój kuzyn

ze strony matki Stanisław Fus z Kolonii Krężnickiej. To było latem 1944 r., chyba w czerwcu. Podobno jeszcze ktoś trzeci tam był z nimi, został ranny. Jechali rowerami i ktoś chyba ich sprzedał, doniósł Niemcom. Nie znam bliżej okoliczności tego wydarzenia.

Strata była wielka, bo „Mir” był dobrym i dzielnym człowiekiem. Był wykształconym, światłym chłopakiem. Nie wiem jaką szkołę i kiedy kończył, ale pamiętam, że w czasie spotkań nieraz rozmawialiśmy na różne tematy, dowiadywaliśmy się od niego wiele. Kiedyś opowiadał o Rosji, wiele o niej wiedział, zdaje mi się nawet, że był tam w okresie po rewolucji. Mówił o życiu w Sowietach, o kołchozach, ostrzegał przed tym, co będzie u nas, gdyby Sowietci zapanowali. Myśmy się sprzeciwiali, twierdziliśmy, że do tego nie dojdzie, że Polacy do tego nie dopuszczą, ale później okazało się, że on jednak częściowo miał rację.

Pochowano „Mira” w Krężnicy. Był w nocy uroczysty pogrzeb, przemówienia. Uczestniczyli jego podkomendni i wielu innych okolicznych wtajemniczonych mieszkańców. Po śmierci „Mira” placówką dowodził przez krótki już okres czasu Kruk, ale nie wiem nic bliższego o nim. Nie miałem z nim kontaktów.

„Mir” miał brata Gienka, takiego bruneta. Jakie były jego dalsze losy, co się z nim stało, tego nie wiem. Ojciec „Mira” wiele ucierpiał po wejściu Sowietów. Co raz go bezpieka aresztowała, co raz było słyhać, że już Golińskiego wzięli. Zmarnowali mu zdrowie i nie dali mu pożyć. Był znękanym, jego zadręczyli. Zmarł, co prawda, nie w UB, ale z powodu ciągłego nękania przez UB.

x

x

x

W okresie, po wyznaczeniu mnie na roboty do Niemiec, przyjeżdżali po mnie do domu kilka razy. Chyba dwa razy był po mnie taki Józef Kałan z Zemborzyc, który służył w niemieckiej żandarmerii polowej. Moja mama go poznała, bo ci Kałanowie byli znani. Mieli w Zemborzycach, niedaleko kościoła, warsztat kowalski czy ślusarski. Stary Kałan był dobrym fachowcem. Dobrze spawał, na mosi<sup>a</sup>dz też. Mojemu zna-

jomemu urwał się widelec u roweru. Pytałem się go kiedyś: - „Kto ci to tak ładnie zrobił?” - „U Kałana” - odpowiedział. Ładnie to było naprawione. Powodziło się Kałanom dobrze. Ja nie byłem u nich, wybierałem się tam z czymś kiedyś, ale nie pojechałem, wiem jednak z opowiadań innych, że byli dość zamożni. Byli chyba niemieckiego pochodzenia. Sądzić tak można chociażby z nazwiska, bo Kałan, to nie czysto polskie nazwisko. Józek Kałan, taki wysoki blondyn, służył w polowej żandarmerii niemieckiej, na piersiach nosił taką blachę wiszącą na szyi. Przyjeżdżał po mnie dwa razy, kiedy mnie poszukiwali na roboty i później, kiedy sabotaż w tej firmie niemieckiej - może nie bardzo fortunnie - ale udał się.

I wtedy urwała mi się ścieżka. Łapanki były przeprowadzane i w Krężnicy. Udało mi się dwa razy uciec. Raz zauważyłem ich wcześniej i uciekłem, drugi raz już prawie z okrążenia, ale też mi Bozia dopomogła uciec, z tym, że dostałem paraliżu nerwowego. Uciekając, wpadłem w takie krzaki wikliny. To było w Krężnicy. Uciekali jeszcze inni koledzy. Pytam się ich: - „Nie widzieli was?” - „Cholera ich wie! Czego leżysz? Uciekaj!” A ja nie czułem ani ręki, ani nogi; nie mogłem się ruszać. Po paru minutach, nie wiem po ilu, jakoś nerwy puściły, krew zaczęła krążyć. Wyciągnąłem rękę jedną, drugą i zacząłem się przesuwac, początkowo na brzuchu, później co raz lepiej, od krzaka do krzaka, do olch. Oparłem się o drzewo, tak jak pijany. Wszedłem do rzeki, w rzece przewróciłem się, ale jakoś przeszedłem na drugą stronę; dostałem się do takiego młodego lasku, pełnego pokrzyw, jeżyn. Ale nie było rady, trzeba było uciekać. Po drodze zrzuciłem takie buty niemieckie, z chromowej skóry, z cholewami, zapinane na sprzączki. Byłem w kożuchu, opasany paskiem, w czapce. To wszystko też zrzuciłem w drodze i tylko w koszuli, z gołą głową i bosso uciekałem. Przewróciłem się chyba ze dwa lub trzy razy, porozbijałem trochę kolana i łokcie. Ucieczka była konieczna, bo już się kocioł zamykał, nie było innego wyjścia, innej drogi, niż ta, którą

uciekaliśmy. Przez mostek już nie można było, bo tam, od strony lasu już byli Niemcy. Już matkę legitymowali i wypytywali, gdzie syn. Moja matka poznała też wówczas Józka Kałana. Matka nie żyje już; gdyby żyła, to by potwierdziła to samo. Kałan wtedy tłumaczył, bo znał niemiecki i polski.

Nie wiem, co się stało z tym Józkiem Kałanem po wojnie, nie wiem, czy żyje jeszcze i gdzie przebywa. Nie wiem również, jakie były losy jego ojca. Natomiast jego brat i matka zostali zabici w czasie akcji na obóz-bazę w Zemborzycach. Niemcy rozbudowywali linię kolejową Lublin - Rozwadów. W Zemborzycach były takie koszary i baza pracujących przy tej budowie. Byli tam Turkiestańczycy, Ormianie i ludzie innych narodowości, pochodzący z terenów Związku Radzieckiego; byli „junacy” z Baudienstu. Na obóz ten miejscowe placówki AK i BCH dokonały napadu. W czasie tej akcji młodszy brat Józka Kałana przeskoczył przez płot i zaczął uciekać. Dostał serię i zginął. Matka pobiegła na dworzec telefonować, zawiadomić o napadzie. Zobaczyła ludzi z oddziału, niektórzy byli w niemieckich mundurach. Podbiegła do nich i zaczęła prosić o obronę, tłumacząc, iż ona i jej zabity syn są Niemcami. Zastrzelono i ją.

O Kałanach nie mogę nic więcej powiedzieć, nie wiem, czy to byli ludzie dobrzy, czy źli. Skoro jednak jeden z synów był w żandarmerii niemieckiej, to świadczy, że pracowali czynnie dla Niemców. Inaczej nie mogło być.

Obóz Turkmenów, który wspominałem, mieścił się w Zemborzycach w pobliżu, a właściwie nawet na terenie stacji kolejowej, tam, gdzie dzisiaj jest GS, po przeciwnej stronie torów, niż stacja. Idąc od stacji do tego obozu, trzeba było przejść przez tory. Torów wówczas było - zdaje mi się - więcej, niż obecnie. Były tam jakieś magazyny, skład amunicji. Zajmowało to duży teren.

Takie baraki, składy, obozy były też na Majdanie Krężnickim, Majdanie Wrotkowskim, w Niedrzwicy. Na Majdanie Krężnickim był również ośrodek wypoczynkowy, rehabilitacyjny dla żołnierzy frontowych. Stał tam taki wypoczynkowy pociąg, który później też został rozbity.

x

x

x

Po wejściu Rosjan w lipcu 1944 r. był taki pewien okres spokoju, oczekiwania, w którym w szeregach konspiracji akowskiej, na jej dołach, nic się nie działo. Czekaliśmy, co będzie dalej, jak się będzie władza zachowywać. Liczyliśmy później na referendum, na Mikołajczyka. Wielkie nadzieje w nim pokładano. Wydaje mi się, że Mikołajczyk był nadzieją wszystkich. Czekano, co z tego wszystkiego wyniknie, co będzie dalej. I wtedy coraz częściej zaczął się pojawiać „Ryś” - Stanisław Łukasik. Był to człowiek energiczny, prężny, znany z działań w okresie okupacji niemieckiej. Stał się organizatorem powojennego podziemia na naszym terenie. Kilka razy był u mojego ojca. Grał na mojej harmonii, uczył mnie grać. Pokazywał mi swoją technikę gry, bo ja trochę już grałem.

Byliśmy wtedy pewni, że z naszej konspiracji, z naszego działania coś wyjdzie, że jest to potrzebne. Nie było przymusu, by każdy z nas musiał tkwić w organizacji do końca. Sam Łukasik nie był pewien jutra, ale wierzyliśmy w sens naszego działania.

Część ludzi z konspiracji okupacyjnej wyłamało się po wojnie. Poszli do wojska, niektórzy do milicji, nawet do UB. Inni poszli do szkół, na studia i zerwali ze środowiskiem konspiracyjnym. Inni urządzili sobie dobre gniazdko. Byli jednak i tacy, którzy nie skorzystali z tych możliwości, czekali lepszego jutra i wierzyli w jego nadejście. Ja nie mogłem też inaczej myśleć. Wiele osób z mojej rodziny było w okresie niemieckim w Armii Krajowej lub w BCh.

Ojciec mój miał jedną siostrę. Wyszła za mąż za Polakowskiego, pracującego w majątku w Tuszowie. Był tam fornałem. Ich syn, Stanisław, mój brat cioteczny, był w BCh. Był to bardzo przystojny, ładnie zbudowany, spokojny chłopak. Po wojnie miał proces, został ska-

zany, trafił do Wronek. Z Wronek udało mu się uciec. Podrzucili tam jednemu z więźniów, podobno w jakiejś amerykańskiej puszcze z mlekiem, mały „damski” pistolet, którym zaatakowano oddziałowego. Następnie organizatorzy ucieczki dostali się do kluczy i rozpuścili dużą grupę więźniów. Rozeszli się, część do domów, część do lasu. Nie pamiętam już szczegółów tej ucieczki. On mi o tym dokładnie opowiadał, ale już lata od tego czasu minęły, a poza tym tyle własnych kłopotów miałem, że się o cudzych sprawach zapominało.

Było to przed żniwami. On z Wronek dostał się aż w okolice domu. Nie wiem, jak i czym. Schwytali go niedaleko domu, na bychawczyńskich polach. Musiał go ktoś wskazać i bezpieka z Bychawy zwinęła go. Może - po ucieczce z Wronek, wiedząc gdzie mieszka - czekali na niego? Zbili go, skatowali, odbili mu płuca. Za ucieczkę ileś mu jeszcze dołożyli i wrócił do więzienia. Posiedział jeszcze trochę i warunkowo go puścili, bo miał gruźlicę. Nie pożył już długo. Był jeszcze u mnie drużbą na weselu i jakieś pół roku później zmarł. Nie było ratunku. I smalec psi pił i inne leki brał, ale nic nie pomogło. Bezpieka go zamordowała. Szkoda go było bardzo. Pochowany jest w Bychawce na cmentarzu parafialnym.

x

x

x

Aresztowany zostałem w 1946 roku, wczesną wiosną, chyba w marcu lub na początku kwietnia. Pamiętam, że były w tym czasie wielkie błota. Przyjechało po mnie kilku funkcjonariuszy UB /wówczas myśmy to nazywali „resort”/, w środku nocy, chyba koło pierwszej po północy. Nie pamiętam, skąd ja w tym dniu przyjechałem do domu. Miałem jechać do Radawczyka. Umówieni tam byliśmy, ale straszny deszcz padał, błoto było okropne. Ojciec mnie namawiał, żebym przenocował w domu, bo w taką chlapę nawet psa by nie wypędził. Ale ja uparcie wziąłem rower, kawałek od domu odjechałem. Chciałem dostać się do toru, myśląc, że wzdłuż toru będzie lepiej. Byłe dostać się do Strzeszkowic, a stamtąd była taka wygodna ścieżka nad rzeczką do Radawczyka.

Ale nie było to możliwe. Deszcz był drobny, ale taki uciążliwy. Nie było mowy o jeździe, buty ubłocone, koła obwijały się błotem. Wróciłem się i tak jakbym przeczuwał nieszczęście.

Spałem na takim poddaszu, miałem tam łóżko. Przygotowany był dla mnie taki schowek, by mnie nie widzieli niepożądani goście. Przykryte to było sianem i nieraz tam przesypiałem, a wtedy było mi jakoś niewygodnie. Zszedłem do mieszkania, wziąłem harmonię i zacząłem grać. Matka, śpiąca w drugiej izbie, obudziła się i pyta: - „Czego ty nie śpisz? Północ, a ty grasz na harmonii!” - „Jakoś nie mogę usnąć” - odpowiedziałem. - „A może ci się jeść chce?” - zapytała i nie czekając na odpowiedź zabrała się do smażenia jajecznicy. Zjadłem, poszedłem jeszcze raz do schowka, i wróciłem. - „W mieszkaniu będzie mi lepiej” - pomyślałem. Położyłem się, chyba na ławie, bo już była za późno, żeby przygotowywać lepsze poślanie. Poduszkę podłożyłem pod głowę i zasnąłem. Nie wiem ile spałem. Zbudziło mnie walenie w okno, w drzwi.

Zaczęli się dobijać, nie było rady, trzeba było otworzyć. Udawali, że są z oddziału, podawali pseudonimy, m. in. „Motylka”<sup>x/</sup> i jeszcze jakiś inny. Ja zorientowałem się, że to nie są partyzanci, lecz że przyjechali mnie aresztować. Krzyczą za drzwiami, żeby otwierać, bo wywalą drzwi. Ojciec pyta się, co robić. Mówię, że nie ma rady, trzeba otworzyć. Drzwi już trzeszczały. Ojciec radzi, że bym uciekał na dach. Ale nie było o tym mowy, dom był otoczony.

Weszli, odrazu się mnie czepili. Wyprowadzają mnie z mieszkania. Udawałem, że nie wiem o co chodzi. Ale to nic nie pomagało. Złapali mnie jak jakiegoś gada. Chwyciłem się za klamkę u drzwi, nie chciałem dać się wyprowadzić. Byłem młody, silny, wysoki, szczupły. Rosły byłem, kolegowałem się ze starszymi od siebie, bo moi rówieśnicy byli nie bardzo do mnie podobni. Któryś mnie uderzył

---

<sup>x/</sup> „Motylek” - Czesław Kubecki, żołnierz AK z oddziału „Nerwy”, gdzie służył z bratem Stanisławem - „Wirem”. Obaj nie żyją, obaj zginęli. Ich ojciec, to mój chrzestny. /przypis autora relacji/

w rękę, nie wiem czym, karabinem, czy czymś innym. Ręka mi opadła. Wypchnęli mnie z domu na zewnątrz. Jeszcze matka zarzuciła mi na ramiona taką starą zimową kurtkę, od dawna nie noszoną, którą nakryty był motor stojący w sionce. Ja byłem tylko w spodniach i koszuli, z gołą głową. Na nogach miałem oficerki. Bardzo dobrze, że mama to zrobiła, bo byłbym się napewno przeziębził i nie wyszedł z tego.

Na dworze chwycili mnie we dwóch pod pachy, lufy pod bok i straszenie: - „Nie próbuj uciekać, bo kula w łeb! Dwóch kroków nie ujdiesz nawet!” Poprowadzili mnie do Stanisława Misztala - „Skały” i jego brata Władka ps. „Bór”. Mnie podprowadzono pod drzwi Misztalów i kazono mi prowadzić taką głupią rozmowę, że niby gdzieś ugrzązłem i przychodzę pożyczyć postronka czy orczyka. Ojciec odezwał się przez okno: - „Gieniu! Czego ty tu chcesz?” - „Józefie!” - mówię - „otwórcie mi, bo mi coś trzeba.” - „A co ci trzeba?” - „Nie wiem nawet, orczyka, czy postronka. Ugrzązłem.”

Poszedłem na wabia, ale tak tam rozmawiałem przez okno, że ojciec „Skały” zorientował się i mówi: - „Gieniu! Daj spokój! Idź do domu, czy gdzieś, gdzie obiecałeś, bo coś tu zaczynasz nawijać.” A może myślał, że jestem podпиты, bo namawiał: - „Idź do domu spać!” Otaczali mnie wkoło, stałem przy drzwiach pod lufami na plecach, ale nic nie wskórałem. Obawiałem się, że może któryś z młodych Misztali jest w domu. Ale na szczęście, albo zdążyli uciec, albo ich nie było. Wkońcu ubecy krzyczą: - „Otwierać!” - i sami zaczęli się dobijać. Nie pamiętam, czy się przedstawili, czy powiedzieli kim są, ale zagrozili, że siłą wejdą, jeżeli im nie otworzą. No, i nie było rady, otworzyli. Mnie karabinem kierują do drzwi. Wchodzę pierwszy, oni za mną. Zrobili ze mnie taką osłonę dla siebie, bo chyba obawiali się, że „Skała” albo „Bór” mogą strzelać. - „Pierwszy zginiesz, jeżeli będą strzelać!” - powiedzieli. Ale nie było ich w domu. Wepchnęli mnie do przedsionka, w kącie mnie pilnowali. W mieszkaniu nie byłem. Przeszukali dom, zrobili pobieżną rewizję, ale widać nic nie znaleźli.



Stamtąd poprowadzili mnie jeszcze do stodoły Kazimierczaka, ale na szczęście nie było Bolka /ps. „Żbik”/ w domu. Od niego pojechaliśmy na drugą wioskę na górkę, za tory kolejowe, do Józefa Kępy. To też należy do Zemborzyc. Kępa był w domu, aresztowali go i stamtąd prowadzili nas aż na czwartą wieś, do jakiejś rodziny poszukiwanego „Skały”. To też byli Misztalowie. U nich było wesele. Ubowcy byli dobrze o wszystkim poinformowani, skoro wiedzieli nawet o tym weselu.

Błoto było ogromne, deszcz lał. Oni byli w pelerynach, mieli z sobą chyba dwa psy wilczury. Przysiedli sobie, czy kucnęli niedaleko tego domu weselnego, a ja musiałem stać; nie wałno było przysiąść, czy nawet pochylić się lub oprzeć. Grupa bezpieczeństwa poszła w kierunku domu, ale widocznie nikogo poszukiwanego nie zastali, bo nikogo nie przyprowadzili.

Stamtąd piechotą przez pola krężnickie, przez Krężnicę, prowadzili nas na Nowiny. To była bardzo długa droga. Tam stały dwa samochody amerykańskie z demobilu, nie pamiętam już jakiej marki. Wsadzili nas na te samochody, Kępę na jeden wóz, mnie na drugi i przez Dąbrowę powieźli do Lublina. Już się rozwidniało, kiedyśmy ruszyli.

x

x

x

Podjechaliśmy na ulicę Cichą. To był pierwszy budynek za rogiem ulicy, skracając z 3-go Maja. Tam mieściła się w tym czasie komenda powiatowa. Nie wiem, co tam jest teraz, nie zaglądałem tam. Nie odwiedziłem nawet swego „mieszkania” z tamtych czasów. Kępa poszedł do dużej, zbiorowej celi na wprost schodów. Mnie poprowadzili na lewo do jakiejś piwnicy - magazynku, w której stały jakieś balony szklane. Nie wiem, co w nich było, ale ostrzegł mnie wprowadzający: - „Tylko się tutaj nie kręć, bo jak zbijesz taki balon, to się tu ugotujesz.” Może powiedział „usmażysz”, już nie pamiętam. Widocznie jakiś kwas był, albo tylko tak mówił dla postrachu. Drzwi były tak wplecione kolczastym drutem, że nie było mowy, aby się do nich do-

stać, zapukać. Nie mogąc się ruszać, stałem taki mokry, jak z wody wyjęty cały czas w tej piwnicy. Wszystko na mnie było mokre, buty przemoczone, całe w błocie. Szczury tam harcowały, piski było sły-  
chać.

Późnym rankiem przyszedł jakiś umundurowany człowiek, otworzył drzwi i zdziwiony pyta: - „A co ty tutaj robisz?” Odpowiedziałem, że przywieźli mnie tu<sup>t</sup> i zamknęli. - „Kto cię tu wsadził?” - „A bo ja wiem” - odpowiedziałem. Zamknął mnie ponownie i wyszedł. Za chwilę wyprowadził mnie z tej piwnicy i umieścił w tej celi, w której był Kępa. To była chyba cela nr 5. Tam było już czterech, ja doszedłem do nich.

Jeżeli chodzi o Kępę, to mam takie mieszane uczucia odnośnie jego osoby i mieszane poglądy na jego zachowanie. Dlaczego? Dlatego, że kiedy znalazłem się w tej celi, szybko wezwali mnie na śledztwo. Wracam ze śledztwa, a Kępa pyta się: - „Co oni od ciebie chcieli? O co się pytali?” - „O różne rzeczy” - odpowiedziałem. - „Wiecie, jak będzie dupa miękka, to będą kraty twarde. Trzeba coś wybierać. Jak będzie dupa twardsza, to kraty będą miększe.” Tak to powiedziałem, jak przyjaciel do przyjaciela.

Na drugi dzień, czy jeszcze tego dnia ponownie na śledztwo mnie wzywają, a wcześniej był Kępa i wrócił taki sobie fiu, fiu. Biorą mnie i moje powiedzenie o tych kratkach przypominają. Stwierdzili, że mi dupę tak zmiękczą, że siebie nie poznam. Wywnioskowałem z tego, że albo mnie celowo sprzedał, albo może pytali go, co opowiadałem po powrocie ze śled<sup>z</sup>stwa i nieopatrznie im powiedział. Ale tak z drugiej strony patrząc, dlaczego jego mieli o to pytać? Nie mogę go oskarżać, ale nie mam pewności, co do jego zachowania.

Wypuścili go po paru dniach z Cichej. Ja tam jeszcze zostałem, byłem tam co najmniej półtora tygodnia, a on wyszedł wcześniej. Przed naszym aresztowaniem Kępa był w Rosji. Wywieziono go niedługo po wejściu Armii Czerwonej, ale dość wcześnie wrócił. Później tak

łazikował, przebywał trochę na Zachodzie, z żoną się rozszedł. Wrócił potem, ale ona go już nie chciała. Pojechał znowu na Zachód i gdzieś tam zmarł.

Przesłuchania na Cichej prowadzili przeważnie Żydzi. Był jeden taki w stopniu majora, którego nazwiska nie znam, oraz Ankel, też Żyd, syn krawca z Osmolic. Przeżyli Niemców, ukrywali się u chłopów, utrzymywali się za szycie. Cała rodzina Anklów też zarobkowała krawiectwem. Było ich czterech, czy pięciu; liczna rodzina. Byli przystojni, czarni.

Kiedyś ten Ankel kazał strażnikowi otworzyć drzwi celi, w której byłem, wywołał mnie na korytarz i mówi, że chce mi pomóc. Był w polskim mundurze, wysoki, szczupły, przystojny. Nie pamiętam jego stopnia. Pyta się, czy go znam. Znałem go właściwie. Spojrzałem na niego, ale nie wiedziałem, co jest grane. Mówię: - „Proszę pana, nie przypominam sobie pana.” - „No jak to! Nie znasz mnie? Ankła krawca nie znasz? Ja przyszedłem cię ratować.” Ponieważ on tak natarczywie nastawał na potwierdzenie znajomości, powiedziałem dość niegrzecznie: - „Ja pana napewno nie znam. Odczep się pan ode mnie! Czego pan ode mnie chce?”. - „No, to chodźmy na górę” - on na to. Idąc ujrzałem na podwórzu czekającego ojca, do którego zwrócił się Ankel: - „Panie Piotrze! On nie chce ze mną rozmawiać.” Ojciec mówi: „Ja prosiłem tego pana, żeby ci pomógł, żeby zajął się twoją sprawą.” Ta pomoc byłaby się chyba jednak źle skończyła. Ankel pokazał mi ojca na dowód, że niby ojciec z nim coś załatwia, ale zrobił to chyba tylko po prostu dla wzbudzenia mego zaufania do siebie.

Ojciec chwycił się wszelkich dostępnych sposobów, aby mnie ratować. Kierowniczką szkoły w Prawiednikach była wtedy pani Packowa. W okresie okupacji niemieckiej ukryła ona dwoje małych żydowskich dzieci. Dzięki temu była po wojnie ceniona i mogła coś załatwić, bo wiadomo, że Żydzi mieli w tym czasie dużo do powiedzenia, a wielu z nich było w różnych władzach. Dowiedziała się o moich kłopotach

i powiedziała ojcu, że ona by mi coś pomogła, a właściwie pomogła by ojcu mnie wyrwać, ale że to będzie kosztowało. Ojciec miał trochę własnych pieniędzy, trochę się zapożyczył i dał te sto tysięcy złotych. W tym czasie, to była duża suma. Packowa wzięła pieniądze, przekazała chyba komu trzeba i dlatego Ankel przyszedł do mnie. Ale - jak mi się wydaje - jemu wcale nie chodziło o wyratowanie mnie, tylko o dowiedzenie się tego, czego dotychczas nie chciałem powiedzieć. Może uważał, że w ten sposób coś wyciągnie ze mnie, że ja powiem, obciążę innych, a za takie zeznania mnie będzie łatwiej uratować?

Na górze było jeszcze dwu Żydów i cały plik przygotowanych papierów. Jeden z tych Żydów, taki tłusty, czarny, już chciał pisać protokół przesłuchania. Gościli mnie tam jakąś białą kawą, była kanapka dla mnie przygotowana i namawiali mnie, bym się pożywił. Jak ja mogłem jeść, kiedy byłem skłopotany, przestraszony, a do tego oni zaczynają mnie przesłuchiwać? Wypytywano mnie, gdzie broń, gdzie ten, gdzie tamten, o tych wszystkich chłopaków, na których im zależało. Ja na wszystko odpowiadałem, że nie wiem. Chcieli wydobyć informacje o Stanisławie i Władysławie Misztalach, pytali o Bolesława Kazimierczaka i wielu innych chłopaków z oddziału. Widać było wyraźnie, o co im chodzi, zorientowałem się odnośnie ich zamiarów i absolutnie nie chciałem puścić pary z ust na żaden podnoszony temat, bo zdawałem sobie sprawę, że tylko się zakopię, jeśli zacznę do czegoś się przyznawać, do znajomości, czy działań. Zaczęli pytać, kto mnie do tej partyzantki wciągnął, dlaczego poszedłem? Ja się wypierałem, jak mogłem, że nic nie wiem, nikogo nie znam, żadna partyzantka mnie nie obchodziła. To wtedy zaczęli naśmiewać się ze mnie. Ten major mówił z takim uśmiechem: - „To siedziałeś u mamy pod barchanką i nic żeś nie wiedział? Nic? Nic? Nikogo nie znasz? Nikt się nie ruszał?” Ja odpowiadałem ciągle, że nic absolutnie nie wiem. Nie siedziałem pod barchanką, ale chodziłem do szkoły, pomagałem rodzicom w gospodar-

stwie i nie miałem czasu na inne sprawy. A on na to: - „Widzisz, koledzy wódkę piją, dziewczuchy obrabiają, a ty tu siedzisz i gnijesz! I co, pomagają ci? A ty ich bronisz!” - „A kto mi ma pomagać i za co?” - odpowiedziałem. - „Nie żądam żadnej pomocy, bo jestem niewinny. Ja o niczym nic nie wiem.” - „No, to zgnijesz w więzieniu.” - „No, to trudno” - odpowiedziałem. - „Jeśli mi przeznaczone zgnieć, to zgniję.” I na tym skończyła się pomoc Ankela.

Czy Ankel wziął te pieniądze, które były przeznaczone na moje uratowanie? Tego nie wiem napewno, ale sądzę, że wziął. Nauczycielka, pani Packowa wzięła je od ojca i liczę, że przekazała dalej. Uchodziła ogólnie za uczynną i solidną kobietę, sądzę więc, że działając w dobrej wierze, przekazała pieniądze w celu uratowania mnie. Nie posądzam jej o złe zamiary, a natomiast im zależało, by się czegoś ode mnie dowiedzieć. Była dobra okazja. Gdybym powiedział, napewno bym wsiąkł.

W czasie dalszego śledztwa na Cichej bito niemiłosiernie, głównie kijami /nogami/ od krzeseł. Przyznam się szczerze, że ze strachu to chyba nie czułem tego bicia, choć później ślimarczyła mi się dupina. Kiedy przeszedłem na zamek, to smarowano nam tyłki jakąś maścią, żeby się podgoiły. Nabierali maść z puszki taką łopatką i przy jej pomocy rozmazywali na tyłku. Naprawdę nie czułem już bicia; byłem taki otępiały ze strachu i jakoś mnie to nie bolało. Człowiek tak się zamyka w sobie, odpornieje, czegoś takiego dostaje, w jakiś taki nie-normalny stan wpada, że trudno to dzisiaj opisać. Nie wiem, czy u każdego z nas tak to przebiegało, bo przecież każdy to inaczej przeżywa, każdy ten ból inaczej konsumuje.

Byłem załamany tym aresztowaniem, wiedziałem już, że to się źle skończy. Wcześniej wywozili wielu do Rosji. Obawiałem się, czy i nas nie przygotowują do wywózki. Byłem podłamany nie na tyle, by się zgubić, ale nadziei na dobre zakończenie nie miałem.

Z Cichej prowadził mnie Kowalczyk, nazywany Karolkiem /mieszkał gdzieś koło Starego Lasu/. Sam mnie prowadził. Pamiętam, że był w takim granatowym mundurze, jakie nosiła dawniej policja, a teraz chyba jakaś straż. Kurtka była trzy ćwierci, spodnie do butów, oficerki. Dziewiątkę załadował w kieszeń i przeprowadzał mnie z Cichej na Spokojną. Wtedy może nawet mógłbym uciec, może udałoby się, może nie, bo przecież z tego pistoletu mógłby mnie kropnąć. Prowadzony byłem w dzień, przed południem i nie przez miasto, ale takimi skrótami. Na Spokojnej mnie zdał i tam zostałem. Siedziałem chyba ze dwa dni. Właściwie nie wiem, po co mnie tam przenieśli.

Ze Spokojnej przewieźli nas na Krótką samochodem ZIS. Podjechał pod same drzwi, stanął tyłem przy wejściu od strony podwórza. Siedziałem w celi nr 1, na wprost schodów. Było tam kilka takich piwnic. Siedziały nawet kobiety w celi po prawej stronie korytarza. Po tej stronie była też pakamera strażnika i depozyt, gdzie oddaliśmy sznurowadła, paski i tym podobne przedmioty. Za celą kobiecą była ubikacja. Tam można było - poza załatwieniem potrzeb fizjologicznych - umyć się, ale trzeba było robić to szybko. Ręce i twarz można było obmyć. Ręczników nie było.

W celi świeciła się taka maleńka żaróweczka, chyba piętnastka. Siedziało nas tam około trzydziestu pięciu. Cella była taka, że jak rozłożyłem ręce od ściany do ściany, to dotykałem obydwu ścian. Przy końcu celi było takie rozszerzenie, w którym znajdowały się deski - - prycze. Ponieważ miejsce było wąskie, mieściło się nas tam chyba siedmiu szczupłych, albo sześciu tęższych. Nie pamiętam już dokładnie tych ilości. Ja nie mogłem tam spać razem, bo wszy okropnie gryzły. Tak wyjadały, że pod pachami i w pachwinach, to już skóry nie było, bo z tego swędzenia, pieczenia człowiek darł do żywego ciała. Kiedy zdjęło się koszulę, to trzepiąc ją, wszy z niej wypadały jak groch i deptało się je. Wszy były okropne i męczyły nas niesamowicie.

Kiedyś wprowadzono do celi nowego aresztanta. Jak się później dowiedziałem, nazywał się Kopeć i przywieziono go chyba z Kraśnika. Był tam podobno prezesem GS-u i „Zapora” zaopatrywał się u niego w żywność. „Zapora” dawał mu taką rozpiskę, że wziął to i to, żeby Kopeć był w porządku. Raz i drugi to się udało, ale później oskarżono go, że współpracuje z „Zaporą” i przymknięto. Przywieźli go na Krózką, kiedy ja tam siedziałem. Pamiętam, że wchodząc miał takie ciasto pod pachą i chyba ze dwa kurczaki. Zaopatrzyła go chyba rodzina przed wywózką z Kraśnika. Kiedy nas zobaczył, to z wrażenia zemdlał, przewrócił się. Ujrzał nas nieogolonych, nie mytych, siedzących w piwnicy bez powietrza. Lało się tam, kapało na głowę, dosłownie gniliśmy tam. Siedziałem tam około miesiąca. Gdybym tam posiedział jeszcze miesiąc, dwa dłużej, to nie wiem, czy żywy bym stamtąd wyszedł.

Wilgoć była tak straszna, że po ścianach płynęły strugi wody. Ta piwnica była chyba gdzieś pod jezdnią, bo słychać było nad głową terkot jeżdżących pojazdów. W piwnicy było ciepło, nagrzana była od naszych ciał, a na zewnątrz zimno. Ja byłem tam wiosną, a w zimie jeszcze gorzej chyba było. Różnica temperatur powodowała skraplanie się potu, wilgoci i tyle tego było, że co kilka godzin trzeba było zgarnywać do kąta wodę. Wyrywaliśmy podszewki z kapot, z marynarek, dawał każdy co mógł i robiło się z tego w kącie takie bajorko, zbiorniczek. Dwa razy dziennie puszczali nas do ubikacji, gdzie można było się załatwić, raz dwa umyć ręce i przynajmniej przemyć oczy. W czasie tej wyprawy do ubikacji trzeba było szybko wyłapać tę wodę szmatami do puszki, z której jedliśmy we czterech, wynieść wodę i obmyć puszkę.

Jedna taka puszką, karbowana, była na czterech więźniów. Nie wszystkie były takie, były różne, ale myśmy mieli na czterech taką karbowaną, wysoką, unrowską. Nie wiem, po czym to było, po mleku, po szynce, czy po czymś innym. Mieścił się w niej może litr, może

nawet mniej. Wlewano do niej zupę, nie mieliśmy łyżek, staliśmy więc w czwórkę i każdy kolejno popijał bezpośrednio z puszki. Co się komu dostało, to było jego. Tak byliśmy karmieni. Na Krótkiej były warunki najgorsze ze wszystkich, jakie przechodziłem w lubelskich aresztach i więzieniach.

Metody śledztwa na Krótkiej były straszne. To była bezpieka, której sposoby obchodzenia się z ludźmi są już dzisiaj znane. Jedną z najdotkliwszych tortur było wlewanie do nosa wody z terpentyną. Mieli w butelkach taką wodę i wiszącemu na kołku człowiekowi wciskali płyn przez nos. Wiązali ręce na skulonych nogach, wciskali pod kolana, między ręce i kolana, kawałek jakiegoś kołka, wieszali człowieka na tym kołku między dwoma stołami, usta zawiązywali jakąś onucą czy inną brudną szmatą i torturowali. Lali jedną, drugą ćwiartkę i pytali, czy już chce mówić. Wcześniej zapowiedzieli, że jak będę chciał mówić, to mam ruszać palcami.

Patrzyli, jak człowiek się dławił, był bliski omdlenia, albo rwało go na wymioty. Przerywali wówczas lanie i pytali: - „Będziesz mówił?” Patrzyli, jak człowiek zwymiotował, wyksztusił; to trochę czasu upłynęło. I zaczynało od nowa: - „Mów!” A co było do powiedzenia? Każdy prawie był świadomy, że jak coś powie, to zginie. Jeżeli ktoś się raz załamał, nie wytrzymał, to zginął, już nie było mowy o ratunku. Wyciągnęli z niego wszystkie jelita.

Ludzie bali się tego, co ich czeka tutaj, ale jeszcze bardziej bali się tej cholernej Rosji. W poprzednim okresie ciągle docierały wiadomości, że tego wywieźli, tamtego wywieźli, a teraz o dziesiątkach znajomych i tysiącach innych wywiezionych ludzi nic nie było wiadomo: żyją, gdzie są, co robią, czy może już nie żyją. Myśleliśmy, że jak tutaj osądzą na te 5 czy nawet 10 lat, to się jakoś przesiedzi, a może nawet nie przesiedzi, może coś się zmieni? A jak tam człowieka wywiozą, to już koniec życia. Ja się tego bałem i wiem



że inni ludzie też się bardziej bali wywózki, niż cegokolwiek. Nawet zginąć, ale na własnej ziemi, tu jakoś inaczej, aniżeli tam gdzieś, w nieznanym.

Z pobytu na Krótkiej przypominam sobie jeszcze, że był tam m. in. taki kpt. Piątkowski - Żyd. Piątkowski się wówczas nazywał, ale był Żydem. Żydów wtedy przy władzy było wielu, a szczególnie w służbie bezpieczeństwa. Ja nie miałem z nim żadnej styczności, ale źle opowiadali o nim inni więźniowie.

x

x

x

Kiedy mnie przewieźli na zamek, trafiłem na początku mego tam pobytu na basztę. Byłem pierwszym więźniem przywiezionym w tym dniu na I poziom baszty /pierwszą basztę, jak mówiono wśród więźniów/. Trafiłem tam koło trzeciej po południu. Wszedłem, wprowadził mnie jakiś strażnik, i z przerażeniem stwierdziłem, że niema tam nikogo. Przerażenie ogromne; myślałem, że już mi przyjdzie tu życie skończyć. Strażnik mnie wprowadził, zamknął drzwi i poszedł. Dość długo nie było nikogo. Po pewnym czasie, tak jak mnie, wprowadzano następnych. Do wieczora przyprowadzano grupami po trzech, czterech więźniów. Wieczorem było nas już kilku, może kilkunastu. Dopiero wtedy pojawił się jakiś dororca czy oddziałowy. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, kto jest kto. Później dopiero dowiedziałem się, że to był Surma, czy Szturma. Zaczął nami komenderować. W ciągu następnych kilku dni zapełnił się ten poziom baszty do 118 więźniów. Na baszcie byłem przeszło tydzień, a może nawet blisko dwu tygodni. Było cicho, nie było żadnego śledztwa. Dopiero później, kiedy przebywałem na I i IV oddziale, prowadzono nadal śledztwo, przyjeżdżał prokurator.

Z pierwszego poziomu baszty trafiłem na drugi, a stamtąd na I oddział, chyba na celę nr 5. Podobno mieli nas przesunąć jeszcze na trzeci poziom baszty, ale zrezygnowali z tego i przenieśli nas

odrazu na pierwszy oddział. Chyba odeszły transporty do Wronek albo do Rosji, zrobiło się miejsce i ominęła nas przeprowadzka na trzeci poziom baszty. Później byłem w celi nr 6. Ta ostatnia cela tak wyglądała, jakby się zapadała. Była w niej potrzaskana podłoga, z takim zaklęśnięciem na środku. W tej celi się trułem. Tam nas siedziało chyba ze czterdziestu, cela była nieduża, leżeliśmy na cemencie, nie było żadnych sprzętów, pryczy, sienników. Układaliśmy się obok siebie, głowami wzdłuż jednej i drugiej ściany, a nogami do siebie /na waleta/. Do spania podkładało się grubsze odzienie, jakie kto miał. Pamiętam kilku, którzy w tej celi siedzieli ze mną. Byli to między innymi:

Jan Kolano z WiN-u. Pochodził z Żabna. Został aresztowany w dniu ślubu. W czasie jego wesela okrążyli dom, aresztowali jego, nałapali kolegów. Była okazja, żeby ich zgarnąć naraz. On był tam znany, podobno był wójtem. Pokazywał mi zdjęcie panny młodej - taka ładna, ciemnowłosa dziewczyna. Pamiętam to zdjęcie.

Gospodarek z Tarnawatki, imienia nie pamiętam. On tak strasznie był zbity. Wiem stąd, bo pobitych smarowali taką maścią. Wspominałem już o tym wcześniej. Poodbijane tyłki, potłuczone plecy ślimaczyły się, nie goiły i jakaś taka wazelina miała być lekarstwem na to. On był tak strasznie skatowany, że nie wiem, czy przeżył to więzienie. Opowiadał mi, że chcieli od niego koniecznie wyrwać broń, dowiedzieć się, gdzie przechował. On nie chciał się przyznać. Jeździli z nim po różnych miejscach. Powiedział, że w lesie zakopana. Pojechali z nim do lasu, kopali, kopali, nie dokopali się. Zapomniał miejsca zakopania. Zbili go, zbili, na samochód i do celi. Powiedział potem, że w stodole schował. Wyrzucili ze stodoły wszystką słomę. Kopią, broni nie ma. Dalej go na klepisku bić. Poodbijane miał ciało do kości, poodbijane miał chyba i wnętrzności. Ciało, to miał dosłownie zczerniałe od bicia.

Poza nimi, z mojej okolicy, siedzieli w tej celi: Józef Polakowski z Osmolic, Władysław Stadnik, też z Osmolic, Sztambor z Prawiednik; imienia jego nie pamiętam, był z takim znamieniem.

Siedział ze mną także Jan Królik, ps. „Baca” z Jakubowic Konińskich. On był z BCh. Jego rodzice mieszkali nad rzeką w Jakubowicach. Po wyjściu z więzienia spotykaliśmy się kilka razy, on mnie zapraszał do siebie do domu. Ale może i dobrze, że do tych odwiedzin nie doszło. Jego siostra pracowała w wydziale kwaterunkowym Urzędu Miejskiego w Lublinie. Ja nie miałem mieszkania; mieszkalem w takim posklepowym lokalu. Rozmawialiśmy kiedyś o tym na Podzamczu. On z czymś tam końmi przyjechał. Mówi mi: - „Wpadnij do mnie kiedyś do FSC. Moja siostra może ci pomóc w uzyskaniu mieszkania.” On pracował w FSC, był kierownikiem jakiegoś działu /tak mi mówił/, ale umówiliśmy się na ponowne spotkanie na Podzamczu. Do tego spotkania nie doszło i dobrze, bo on organizował znowu grupę. Nakryli go z bronią w Fabryce, aresztowali, dostał za to chyba z dziesięć lat. Widzieliśmy się po latach przypadkowo w autobusie, bardzo marnie wyglądał. Mówił mi wtedy: - „Dobrze, żeś wówczas nie przyjechał do mnie.”

W celach nie było nawet kibli. Drzwi były podwójne: na zewnątrz drewniane, okute blachą, nitowane, a od wewnątrz krata stalowa w formie drzwi. Kiedy wypuszczano nas do ubikacji, to w końcu korytarza stała „suka” - lekki karabin maszynowy i przy nim żołnierz w polskim mundurze. Czy był to Polak, czy Ruski, tego nie wiem. Nie można było się za wiele rozgł<sup>l</sup>ądać, marudzić. Poganiano, raz, dwa i do celi.

Cele 1 do 4, były to tzw. izolatki lub separatki. Były to takie nieduże cele, w których umieszczano skazanych na karę śmierci. Po wyroku nie wracali oni już do celi, z której wyszli, lecz umieszczano ich w tych izolatkach i tam oczekiwali na uprawomoc-

nienie się wyroku, lub na łaskę. Uprawomocnienie trwało, w zależności od rodzaju sprawy /paragrafu/ trzy, siedem, lub czternaście dni.

W izolatkach kraty w oknach były - jak mi się wydaje - potrójne, a w zwykłych celach podwójne. Opowiadali więźniowie, że podobno ktoś kiedyś dostał jakiś włos angielski czy inne narzędzie i uciekł lub przynajmniej próbował uciec z izolatki przepiłłowując kraty i dlatego tak je wzmocniono.

Na ścianach tych cel były wydrapane, napisane różne wierszyki i napisy pożegnalne. Niewiele pamiętam, ale przypominam sobie różne zwroty do Matki Bożej, do najbliższych. To straszna rzecz, co tam było. Widziałem to w tej celi - izolatce, w której ja byłem przez pewien czas. Napisy te były ciągle zamalowywane, ale można było je odczytać, bo wydrapane, a nie zaszpachlowane widoczne były po zamalowaniu. Były też i świeże.

W celi, w której byłem, w ścianie były umocowane takie grube stalowe kółka. Nie wiem do czego one służyły, do przykuwania więźnia, czy do czegoś innego ?

Miałem nadzieję, że te cele, te ślady męki ocalały na zamku, ale okazuje się, że wszystko zostało zniszczone, przebudowane i nie ma nawet śladów tego. Nikt tego przed przebudową nawet nie sfotografował.

Kiedyś słyszeliśmy wyprowadzanie w nocy więźnia z jednej z tych cel, a następnie usłyszeliśmy strzał. Doszły potem informacje, że podobno rzucił się na prowadzących go na śmierć i strażnik zastrzelił go w drzwiach. Wyroki podobno wykonywane były w pomieszczeniu pod kaplicą. Był taki magazyn opałowy z węglem, drewnem i tam podobno rozstrzeliwali. Spacerując po dziedzińcu, widzieliśmy wejście do tego magazynku.

Spacer był nagrodą, raz na tydzień chyba, dla tych, którzy nie podpadli. Jeżeli nic się nie wydarzyło, wszystko przebiegało

zgodnie z regulaminem, nikt nie wyglądał przez okno, to mieliśmy spacer. Dookoła wieżyczki stojącej na środku dziedzińca był taki chodniczek, po którym spacerowało się dwa lub trzy razy w koło.

Wykonawcą wyroków był podobno taki funkcjonariusz, którego czasami widzieliśmy chodzącego po dziedzińcu. Ja go widziałem na dziedzińcu, kiedy siedziałem na „pierwszej baszcie”. Był on szczupły, wysoki, z wystającymi zębami, w mundurze koloru morskiego, w okrągłej czapce, podobnej do NKWD-owskiej. Przy pasie miał dużą kaburę, w której mógł się zmieścić duży nagan, czy inny pistolet tego rodzaju, ale podobno widywano tego człowieka z małym pistoletkiem, szóstką czy siódmką. Sądzę, że to był Rosjanin, ale nie jestem pewien tego.

Oprócz niego znany był powszechnie taki Iwan. Był chyba enkawudzistą. Nie wiem dokładnie, jakie on spełniał funkcje, ale często bywał przy poszczególnych celach. Chodził łobuz po całym zamku; mówiono wtedy, że idzie Iwan, to trzeba uważać. On miał taką szramę na jednym policzku, jak obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Był ciemnoskóry, podobny do jakiegoś mulata. Znał doskonale rozkład cel w więzieniu; wiedział, które okna od strony dziedzińca do której należą celi, bo często wykrzykiwał numery cel, jeżeli zauważył kogoś w oknie i biegł od razu do tej celi, wzywał komendanta celi do wskazania osoby wyglądającej. Nieraz jeden drugiemu stanął na ramionach, aby zobaczyć, co się dzieje na dziedzińcu. Cholera wie, skąd on już widział to i przybiegał do celi. Musiał wystąpić wówczas ten, który wyglądał, bo w przeciwnym razie komendant celi szedł do karca. Szkoda go było na to skazywać, trzeba się było przyznać. Wyglądający i złapany na tym wykroczeniu musiał odsiedzieć dobę lub dwie w karcu.

W więzieniu za przewinienia zarabiało się jeszcze na większą karę, na ostrzejsze więzienie. Te karce, to było najwyższe stadium

kary. Karcery mieściły się na pierwszym oddziale. Były trójkątne i kwadratowe. Wymiary były takie, iż nie można było w karcu położyć się ani sięść. Do karca nie wolno było zabierać cieplejszej odzieży, marynarki, czy swetra. Szło się tam tylko w koszuli i spodniach. Po dobie lub dwu przestanych w karcu, wychodziło się przemarzniętym do szpiku kości, dygotającym jeszcze przez wiele godzin po powrocie do celi.

Co rano w celi odbywały się apele. Na apel przychodził zawsze jeden z przodowników straży. Często przychodził taki brunet, elegant w bucikach, z wąsikami wymalowanymi henną. Nieraz przychodził ktoś inny. Przychodzili zawsze z książką. Oddziałowy otwierał drzwi, wchodził przodownik. Komendant celi - był nim jeden ze współwięźniów - krzyczał: - „Baczność!” - i składał raport. Cela taka i taka, stan taki i taki, wszyscy obecni, albo tylu nieobecnych, tylu na sprawie. Jeżeli poprzedniego dnia ktoś odszedł z celi na wolność, albo został przeniesiony, to też podawał to komendant celi w raporcie. Taki był przebieg apelu.

W czasie apelu, jeżeli ktoś chciał przedstawić jakieś swoje sprawy, zgłaszał się do komendanta celi, ten przedstawiał więźnia przodownikowi, a więzień prosił o załatwienie swojej sprawy. Nic to właściwie nie przynosiło, szkoda było to robić. Więzień łudził się, że jego sprawa zostanie rozpatrzona, załatwiona. Dzień za dniem upływał i nic się nie działo.

Do apelu stawaliśmy równiótko, w czworoboku. Po zameldowaniu stanu przodownik przeliczał obecnych /dwa boki/, zaglądał do książki i jeżeli się zgadzało, wychodził. Mówił: - „Do widzenia!” Wszyscy musieli odpowiedzieć. Tak samo wszyscy go wcześniej witali.

W celach było nas naogół dużo. Ja, pod koniec swego pobytu siedziałem w celi nr 19. Była to duża cela: 7 x 8 metrów. Było nas tam około 130-tu. Ledwośmy się mogli w nocy ułożyć. Wzdłuż jednej i drugiej ściany były prycze, ale nie wszyscy się na nich

mieścili. Ci, co dłużej siedzieli, to już awansowali na prycze, a nowi spali na podłodze, na cemencie.

Po wyjściu przodownika odmawialiśmy zbiorowo modlitwę, śpiewaliśmy „Kiedy ranne ...”. Nie wolno było głośno śpiewać, niektórzy oddziałowi wogóle zabraniali śpiewu, ale dość często korzystaliśmy z możliwości wspólnego zaśpiewania. Wielu oddziałowym to nie przeszkadzało. Reagował natomiast na to nieraz ten enkawudzi- sta ze szramą na twarzy, o którym już wspominałem. Nie wiem, jaką on pełnił funkcję na zamku. Chodził po całym zamku, penetrował i każde zauważone przewinienie karał. U niego nie było kredytu.

Oprócz wymienionych już dwu zamkowych oprawców, których nazwisk niestety nie znam, wspomnę jeszcze innych funkcjonariuszy więziennych, których poznałem w okresie pobytu na zamku.

Zastępcą przodownika był Rabarski. Nosił takie czarne wąsi- ki, ładnie podstrzyżone, taką angielkę. Chodził w butach oficer- kach. Później, po kilku latach od mego wyjścia z więzienia, pra- cował jako strażnik w Banku Inwestycyjnym w Lublinie, mieszczącym się przy Placu Litewskim, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i 3-go Maja.

Głównym przodownikiem, tym pierwszym, był Eugeniusz Fiodor. Pochodził podobno z jakiejś wioski za Krzczonowem. W tym czasie zamek był punktem zbornym ludzi z całej okolicy, z całej Lubel- szczyzny, a nawet Polski. Przebywały na zamku setki ludzi w okre- sie śledztwa i ludzie ci często nie tylko znali się wzajemnie, ale znali również personel zamkowy. Stąd więc informacja o pochodzeniu Fiodora i niektórych innych. Fiodor był wysokim blondynem, miał donośny, gruby głos. Był bardzo nieprzyjemny, podobny do bandyty. On przeważnie, a nawet chyba tylko on, wyprowadzał z cel na śmierć.

Zastępcą naczelnika więzienia był Nesterowicz, taki blondyn, średniego wzrostu, krępy. Pamiętam jedną z jego inspekcji. Chodził po celach i z taką niby litością, z zainteresowaniem wypytywał,

jak dobry wujek, jak się nam żyje i powodzi, czy się nam krzywdą nie dzieje. Przecież sam dobrze wiedział, jak to wszystko wygląda. Jakie warunki stworzył, takie były. Robił wariata, albo z nas, albo z siebie.

Kiedy przyszedłem na zamek, dziwną rolę na baszcie spełniał wspomniany już przeze mnie Kazimierz Surma, czy Szturma, podobno pochodzący z Zakrzówka. Nie wiem, czy on był więźniem na specjalnych prawach i szczególnych obowiązkach, czy wchodził w skład personelu zamkowego. Był takim komendantem na baszcie, ale chyba nie raz nocował z nami. Nie przebywał z nami cały czas, miał klucze, zamykał i wychodził na dziedziniec. W dzień często wychodził, w nocy najczęściej był z nami. Stu osiemnastu było nas na „pierwszej baszcie”. On w nocy łąził po nas, wgniatał nas między siebie, jednego między pozostałych, abyśmy się zmieścili. Wszy nas żarły, ale jak człowiek drapał, ruszał, to się wyruszał i już był na wierzchu, a tego nie wolno było. Po północy rozlegała się jego komenda, aby się obracać na drugi bok. Uważam, że on nocował z nami, ale napewno tego nie wiem. Może tylko przychodził w nocy? Po takiej całodziennym męce człowiek się kładł i spał jak kamień, choć go wszy gryzły. Nie wiem więc napewno, czy on był z nami w nocy, czy tylko przychodził co pewien czas. Mówiono, że on nawet na akcje poza teren zamku jeździł, ale też nie jestem pewien, czy to prawda.

x

x

x

W więzieniu na zamku wyżywienie było bardzo kiepskie. Rano dawano nam kilogramowy bochenek chleba na czterech, ówierz kilo na głowę. Komendant celi, przy pomocy ochotników, kroili ten chleb nożem na cztery części, każdy dostawał taką pajdkę i kawę. Kawa była bardzo niedobra, była to jakaś lura, niewiadomo z czego gotowana, a poza tym niesłodka. Porcja chleba była na cały dzień. Kawę trzymało się też przez cały dzień, a czasami nawet zostawiało się na noc, aby mieć coś do wypicia. Chleba, to się nie jadło, ale lizało.



Każdy trzymał gdzieś w kieszeni swoją porcję, od czasu do czasu wyciągał, poskubał trochę i znowu chował. Nie można było od razu całej porcji zjeść, bo żołądek by to strawił, a za godzinę czy dwie głód byłby nie do wytrzymania. Jedzenie po odrobinie w ciągu całego dnia zmniejszało trochę to uczucie ciągłego głodu.

Obiad był około godziny pierwszej. Po śniadaniu wytrzymywało się do godziny 10-tej, może 11-tej. Po jedenastej wszyscy byli głodni, każdy zjadłby nawet drewno, gdyby się zjeść dało. Dostawało się wprost boleści z głodu. Ja przynajmniej tak to przeżywałem. Byłem młody, potrzebowałem jedzenia, a byłem ciągle głodny. Obiad przynosiło dwu więźniów - kucharzy, w dużym, kilkudziesięciolitrowym kotle, niesionym na drążku. Kocioł stawiali przed celą, oddziałowy otwierał celę i każdy w kolejce podchodził po zupę. Dostawał porcję, nieraz takiej lury, że trudno było zjeść. Nie wiadomo, z czego to było gotowane, a o jakiegokolwiek czystości tego jedzenia, to lepiej nie mówić.

Pamiętam, pewnego dnia, jeden z kolegów z celi na IV oddziale, głodny, prosił rozlewającego zupę: - „Panie kucharz! Po spo-dzie, trochę gęstszego!” I ten mu chochelką sięgnął głębiej, i chlap coś do miski. Patrzymy, a to szczur przecięty na pół. Zrobiliśmy straszną awanturę, zaczęliśmy rzucać tymi miskami z zupą, poparzyliśmy roznoszących. Nie chcieliśmy jeść, zrobiliśmy głodówkę. Zrobił się szum w więzieniu. Przyszedł zastępca naczelnika więzienia, przdownik. Dla władz więziennych taka głodówka jest chyba kłopotliwą i groźną sytuacją, bo już się ubezpieczali, przychodzili z bronią.

Ja początkowo brzydziłem się jeść tego, co dostawałem. Nie jadłem zup, uważałem to za brudne i niesmaczne. Ale po pewnym czasie zostałem złamany. Wyszłem, z sił zupełnie opadłem i zacząłem jeść. Jak była jakaś lepsza zupa, to zjadłem. Początkowo jadłem tylko to, co uważałem, że się da zjeść, a później już nie przebie-  
rałem.

W czasie pobytu na zamku dostawałem niewiele paczek. Jedną przysłała mi ciotka, moja chrzestna matka. Z tej paczki niewiele skorzystałem, bo najbliższej nocy myszy zjadły mi kawał chleba. Dostałem taki duży bochenek razowego chleba. Cieszyłem się, że mi na jakiś czas starczy. Zaraz po otrzymaniu paczki kawałek tego chleba odkroiłem i podzieliłem się nim z kolegami, a resztę zachowałem. To był bardzo duży bochen chleba, taki wiejski bochen. Koledzy mnie namawiali, żeby zostawić duży kawałek na później, na następne dni. Niestety, rano tylko kawałeczek skórki zostało z tego, co zatrzymałem. W tej paczce z chlebem dostałem też kawałek gotowanego boczku.

Postanowiłem odpłacić myszom za chleb. Byliśmy na spacerze i udało mi się tam ułamać skrycie gałązkę z rosnącego na dziedzińcu krzaka bzu. Zrobiłem z tego kijek, z nici wyciągniętych z koszuli zrobiłem sznureczek, a z nar, z pryczy wyciągnąłem deskę. W nocy, kiedy wszyscy położyli się spać, ja przy świetle księżyca oparłem obok kibla deskę na kijku, przywiązałem sznureczek, pokruszyłem trochę więziennego chleba i czekałem. Zaczęły myszki podchodzić, tak po jednej, po dwie. Za chwilę patrzę, a tu biegnie ich cały sznur. Postanowiłem więc łapać po kilka na raz. Ustawiałem się tak, żeby trzy - cztery złapać jednocześnie. I tak po kilka pobijałem tą deską. Księżyc przesuwiał się, to i ja się przesuwiałem na posadzce. Od księżyca było na tyle widno, że można było polować. Może to żartobliwie wygląda, ale czterdzieści sześć, pamiętam dokładnie - czterdzieści sześć jednej nocy ubiłem. Łowy takie prowadziłem przez kilka nocy i znacznie stado przetrzebiłem. Ale mimo wszystko, ciągle skąś przychodziły.

Nie można było żadnej żywności zostawić na podłodze, bo zjadły wszystko, tak jak mój chleb. Ludzie przynosili<sup>z</sup> sobą trochę jedzenia z wolności, czy nieraz wracając ze śledztwa. Były też

paczki, więc niejeden coś tam miał. Do przechowywania tego używany był wieszak, taki drążek na nogach. Na nim wieszano się te woreczki i majdełki z żywnością. Myszy i po nogach tego wieszaka wychodziły i dobierały się do jedzenia, ale mniej niszczyły.

Zdarzały się w celi niekiedy kradzieże, ale było to bardzo rzadkie wydarzenie. Ja pamiętam dwa takie przypadki. Ci dwaj, którzy dokonali kradzieży, byli chyba trochę nienormalni. Siedzący za dezercję z wojska Zygmunt przywłaszczył sobie pajdkę chleba. Dostał za to wycisk. Był jeszcze jeden jakiś podobny przypadek. W celi natomiast byli ludzie i dobrzy i źli. Był taki człowiek z Bychawy, nazywał się chyba Kraśnicki. Był masarzem. Dostawał często paczki z wędliną, która mu się psuła. Klęliśmy go, ponieważ tak to śmierdziało, że nie można było wytrzymać. Wyrzucał zepsute wędliny, boczek. Mówiliśmy mu: - „Czyżbyś nie mógł komuś dać, póki świeże, jeżeli sam nie jesz? Podziel się z innymi! Jakże ty masz serce? Jak ty tak możesz?” Nic nie pomagało. Kiedyś nażarł się i śpi. Zrobiliśmy mu rower. Twardo spał, poparzył się trochę. Obudziliśmy go w końcu, bo by mu się nogi usmażyły. Zaczął skakać, krzyczeć, piszczeć. Nie był to dobry człowiek.

Byli dobrzy ludzie, którzy się dzielili wszystkim, co dostawali. Każdą odrobiną się podzielili. Ja nie chwalebę się, paczek też nie dostawałem dużo, ale dzieliłem się tym, co miałem. Paczki przysyłała mi przede wszystkim ojca siostra, moja ciotka. Niewielkie były paczki, bo ograniczona była ich waga i niewiele ich było, bo też ograniczona była ilość paczek dla poszczególnych więźniów. Dostawałem w paczkach m.in. papierosy, takie mocne, twarde, machorkowe. Były w długich, wąskich opakowaniach. Paliłem wtedy, ale dzieliłem się nimi z kolegami. Nie cierpiałem na brak papierosów, bo koledzy mnie też częstowali. Co miałem, to dawałem tym, którzy potrzebowali. Później oni dali mnie. Tak żeśmy się wzajemnie wspomagali.

W czasie całego pobytu na zamku miałem tylko jedno widzenie z ojcem. Ojciec wyzebrał to jakoś u prokuratora. Obok głównej bramy, po jej prawej stronie wychodząc z zamku, były widzenia. Rozmównica, była to taka długa, wąska cela i po jednej jej stronie byli odwiedzający, a po drugiej więźniowie. Rozmawiających oddzielała podwójna siatka, od strony więźniów i od strony ich rozmówców. Środkiem, między siatkami chodził strażnik i pilnował, żeby niczego nie przekazywać i rozmów na niewłaściwe tematy nie prowadzić. Trudno było rozmawiać w czasie widzenia, bo do maleńkiej rozmównicy wchodziło na raz chyba z dziesięciu więźniów i tylu ich rozmówców. Praktycznie można było rozmawiać tylko wówczas, kiedy strażnik był w drugim końcu rozmównicy. Broń Boże było zapytać się, co słychać na wolności. Jeżeli strażnik taką rozmowę usłyszał, odwiedziny były przerywane.

W naszej celi, liczącej 130 chłopa, byli różni ludzie, był sędzia, adwokat i wielu innych. Mieli oni już doświadczenie i wiedzieli, jak się zachowywać w więzieniu. Ostrzegali, żeby przy widzeniu nie pytać się, co słychać na wolności, bo zaraz po takim pytaniu będzie po widzeniu. Każdy był ciekawy, co na wolności i aż korciło do zadania takiego pytania. Więźniowie uczyli jedni drugich, o czym można mówić, o co nie wolno się pytać, bo o uzyskanie widzenia było bardzo trudno.

Na zamku, wśród więźniów byli bardzo zdolni ludzie, a poza tym mieli bardzo dużo, stanowczo za dużo czasu. Czytać nie można było, słuchać nie było czego, do oglądania też nic nie było. Można się było zanudzić. To było nie do wytrzymania. Kiedy wychodziło się raz na tydzień na spacer po dziedzińcu zamku, spotykało się tam furmanów wywożących śmiecie z zamku, przywożących wiktuały do więziennej kuchni, chleb i inne rzeczy potrzebne do funkcjonowania więzienia. Można było, chodząc na spacerze, wyszarpnąć włosie z końskiego ogona, bo czasami pilnujący spuścił z nas na chwilę oko. Ktoś tam znowu przyniósł z wolności kolorową szczoteczkę do

zębów. Znalazło się jakąś łyżkę, to się ją ostrzyło na posadzce. To nie był nóż, ale można było tym coś wyskrobać, zrobić. Ktoś miał jakieś koraliki, naciągało się je na włosie i tak z tych różnych rzeczy powstawały pierścionki, wisioriki z serduszkami i inne więzienne pamiątki.

Miałem mieć widzenie, wziąłem więc taki pierścionek dla matki na pamiątkę, bo na wszystko byłem przygotowany, nawet na to, że mogę się z nią już nigdy nie zobaczyć. Dopadłem okienka w rozmównicy wcześniej niż inni i zacząłem próbować, czy się podnosi ta siatka oddzielająca nas od odwiedzających. Z radością stwierdziłem, że tak; okienka podnosiły się. Nie było jeszcze strażnika, nie wiem dlaczego; udało mi się unieść tę siatkę z mojej strony i położyłem przy przeciwległej przyniesiony pierścionek. W czasie rozmowy pokazałem, że tam coś leży i że przekazuję to mamie na pamiątkę. Ojciec się rozplakał.

Rozżalił się ojciec i mówi do mnie, że już nie ma pieniędzy na pomoc dla mnie, ale gdyby mógł skąś pożyczyć, to jeszcze by się starał mi pomóc - przez kogo, nie wiem. Powiedziałem ojcu, że jeżeli są jakieś pewne możliwości, to niech ryzykuje, ale jak nie ma, to nie powinien zadłużać się, bo jak ja nie wyjdę z więzienia, to po co po naszej śmierci mają nasze kości wywłóczyć ludzie. „Nie będzie ciębie stać oddać tych pieniędzy” - powiedziałem ojcu. - „Ja się już zdecydowałem na jedno, a ty sam, stary, skąd weźmiesz pieniądze? Trudno, jak Bozia zarządzi, tak niech się stanie.” I tak przy tej rozmowie obaj żeśmy się trochę popłakali.

Ojciec się już wytracił, zapożyczył. Długu było dużo. Sąsiedzi i znajomi, jak mogli, tak pomagali. Józef Bartoszcze z Radawczyka /jeszcze chyba żyje/, pożyczył 20 metrów zboża, bo nie miał pieniędzy. Powiedział ojcu: - „Piotrze! Weźcie konie, przywieźcie worki! Zawieźcie zboże na jarmark i sprzedacie, bo nie mam gotówki.”

Tak ojciec zrobił. Zadłużył się bardzo poważnie dla ratowania mnie. Gdzie mógł, tam pożyczał i nie bardzo wiedział skąd wziąć jeszcze potrzebne sto tysięcy. Mówi ojciec: - „Tyle się już straciło, to może i to trzeba zrobić. Będę miał czyste sumienie, nie będę żałował.” - „To idź do Adolka Niedźwieckiego i poproś go w moim imieniu” - powiedziałem ojcu. - „Jak wyjdę, to mu oddam.” Ojciec zrobił to. Niedźwiecki wyjął sto tysięcy, nawet podobno nie pytał, kiedy mu ojciec odda i czy mu odda. Wyjął pieniądze i dał ze słowami: - „Niech Piotr ratuje syna.”

Niedźwiecki, był to młynarz z Krężnicy. Bardzo dobry człowiek. Cała rodzina była bardzo życzliwa. Mieli młyn, tartak i gospodarkę. Było u nich ze czterech młynarczyków, służące były. Do krów i koni też kogoś mieli. Niedźwiecki ożenił się z Krępianką na Majdanie Krężnickim. Później wszystko jakoś zmarniało. On zmarł, ona nie poradziła sobie z tym wszystkim. Młyn się spalił, tartak się spalił i wszystko poszło w rozsypkę.

x

x

x

Od wiosny 1946 roku przez prawie rok trwało śledztwo. Prowadzone było wszędzie, gdzie przebywałem: na Cichej, na Krótkiej, i w końcu na zamku. Jedynie na Spokojnej nie byłem przesłuchiwany. Na zamku przesłuchania prowadził prokurator. Nie wiedziałem wówczas, jak on się nazywał, a dopiero z wyroku dowiedziałem się, że J. Time. To był Żyd, w stopniu podporucznika, w polskim mundurze wojskowym. Był chyba dwa razy na zamku. Bicia lub innych środków wymuszania zeznań na zamku już nie stosowano. Było tylko trochę straszenia. Na zakończenie śledztwa przyjechał prokurator jeszcze raz. Pytałem się go wówczas, czy rodziny nasze wiedzą o zakończeniu śledztwa i przygotowywanym procesie. Powiedział, że nie.

Kiedy śledztwo zakończono, rozpoczęło się montowanie procesu. Miała być sądzona większa grupa, ale zdołano zebrać tylko nas trzech: mnie, Jana Skwarka i Kazimierza Rycerza. Pozostałych nie złapano.

W oskarżeniu chodziło głównie o napad na placówkę milicji w Prawiednikach - Bidaczowie. Myśmy im tam trochę przetrzepali skórę.

W końcowym okresie śledztwa, kiedy prokurator przyjechał na zamek, Rycerz nie chciał się zgodzić na podpisanie zakończenia śledztwa, bo tam było powiązanie sprawy z Żydami, a on nie był temu winien. Mimo tego dostał później osiem lat. Rycerz prosił, byśmy się też nie godzili, bo może będzie jakaś amnestia, bo może coś innego wyniknie. Mikołajczyk wtedy jeszcze tak się ubiegał o tych aresztowanych. Ja pytałem się Jasia Skwarka, co on na to. Powiedział: - „Co będziemy siedzieć.” - „No, to godzimy się na sprawę?” - „Godzimy się”. Kazano nam wyjść i zastanowić się. Chwila była na zastanowienie. Wracamy, pytają się nas: - „Godzicie się na sprawę?” My, we dwóch, godzimy się; Rycerz się nie godzi.

W czasie tego podpisywania zeznań, kończenia śledztwa, pytałem się Skwarka i Rycerza, czy nie spotkali na zamku któregoś z pozostałych naszych kolegów. Powiedzieli, że nie, że chyba nikogo poza nami nie ma. I jak się później okazało, tak było rzeczywiście.

Przed naszą rozprawą docierały wieści do rodzin i kolegów, kto jest szykowany na świadków oskarżenia w naszej sprawie. Żyli wówczas jeszcze i działali w podziemiu wspomniani już „Bór” - Władysław Miształ i dowódca „Ryś” - Stanisław Łukasik. Usiłowali oni trochę złagodzić oskarżenie przez utemperowanie świadków oskarżenia. Zaczęli im „dolewać”, a nawet ostrzegali ich, odgrażali im, że jeżeli któryś z nas zginie, to oni zostaną spaleni. Przychodzili więc po otrzymanych kijach do mojego ojca i prosili, żeby im nie doku czano. Ojciec mówił: - „No, cóż chcecie? Wsadziliście go, to teraz go wyciągniecie i będzie kwita.”

x

x

x

Sądzono nas na Uniwersyteckiej. W tym samym budynku nas sądzono, w którym za Niemców była katownia gestapo „Pod zegarem”. Wieziono nas z zamku na rozprawę odkrytym samochodem, na platformie. Przed

budynkiem ustawiony był kordon, samochód tyłem cofnął się pod drzwi, każdego z nas wzięto we dwu pod pachy i zaprowadzono na salę rozpraw.

Przewodniczącym zespołu sędziowskiego sądu wojskowego był mjr Smyczek. Kiedy sąd wchodził, musieliśmy wstać, a później, w czasie rozprawy zachowywać się zgodnie z regulaminem: - „Ręce do tyłu, głowa lekko pochylona; odpowiadać tylko i wyłącznie na pytania.”

W czasie oskarżenia zarzucał mi taki ubowiec, porucznik Marian Frączek /pochodził z Zaraszowa/, że ja też brałem udział w napadzie na posterunek milicji, wymuszałem od niego broń i zabrałem ją, jakieś dokumenty mu podarłem, kopnąłem w stół, aż się przewrócił. Poznał mnie, opisał jak byłem ubrany. On był jednym z głównych świadków oskarżenia przeciwko mnie. Sędzia pytał go, jak byłem ubrany, jaką miałem broń. Opisał dokładnie, że byłem w mundurze, z koalicijką, pasem, w butach oficerkach i powiedział, że miałem empika /pistolet maszynowy/ i parabelkę /ręczny pistolet/. - „Jak on to trzymał wtedy? - pytał sędzia. - „Bojowo” - odpowiedział Frączek. Ja chciałem to sprostować, bo przecież to było bezsensowne. Można trzymać w postawie bojowej jeden z tych pistoletów, ale nie dwa naraz. Dwa ręczne pistolety można mieć naraz „bojowo”, ale nie ręczny i maszynowy. - „Cicho” - wrzasnął prokurator. Odebrał mi głos i po tłumaczeniu. Nie wiem, czy to było protokołowane, czy sędzia to zauważył?

Mieliśmy dwu adwokatów: Kazimierza Krzymowskiego i Bojanowskiego. Krzymowski jeszcze żyje, Bojanowski zmarł. Dobrzy to byli adwokaci. Krzymowski był wynajęty przez rodziny Skwarka i Rycerza, a Bojanowski przez mego ojca. Bojanowski był podobno przed wojną prokuratorem, a Krzymowski sędzią. Tak słyszałem. Po wojnie może nie mogli tych zawodów uprawiać i zostali adwokatami. Dobrymi byli adwokatami, nie można na nich narzekać. Podobno Bojanowski miał jakieś wpływy w sądzie, znajomości, które mogły pomóc w sprawie.



Prokurator czy bezpieka, chcieli tak załatwić, aby rodziny moja i kolegów nie były na rozprawie. Nie wiem, komu na tym zależało, ale nie powiadomiono nikogo oficjalnie o terminie rozprawy. Zrobił to dopiero adwokat, któryś z tych dwu, chyba Krzymowski. Dowiedział się, że jutro nasza sprawa, więc powiadomił pracującego na poczcie głównej w Lublinie kierownika /zapomniałem jego nazwisko; to ten, któremu później pociąg obciął nogę/. On przyszedł wieczór pieszo do Krężnicy, bo nie mógł już telefonicznie zawiadomić, gdyż wiejska poczta w Krężnicy była już nieczynna, kiedy adwokat telefonował. Przyszedł pieszo, wzdłuż torów, do Krężnicy, dał znać niejakiemu Maliszewskiemu, bo dalej nie mógł dotrzeć, gdyż była powódź ogromna. Konno, wierzchem trzeba było jechać, bo wozem nawet trudno było się dostać, tak wysoko droga była zalana. Maliszewski wierzchem pojechał i powiadomił Ochowskiego /ten już nie żyje, a nie wiem też, czy Maliszewski jeszcze żyje/, a ten ostatni znowu konno pojechał do mojego ojca. Ojciec musiał znowu powiadomić rodziny Skwarka i Rycerza. Raniutko byli w miejscu rozprawy, przed budynkiem.

Rodziny nie dostały się jednak na salę rozprawy. Nikomu nie wolno było wejść, rozprawa była zamknięta, odbywała się w trybie doraźnym. Na sali był żołnierz - klucznik, cały czas manewrował kluczem, otwierał salę i wołał osoby, które wzywali prokurator lub sędzia. Po przesłuchaniu wypuszczał, zamykał salę i znów za chwilę prosił inną osobę, potrzebną do złożenia zeznań.

Nie pamiętam już, czy było to w pierwszym, czy drugim dniu procesu. Rozprawa przeciągnęła się do późnej nocy. Zakończyła się o dziesiątej, czy jedenastej wieczór. Wysiedzenie od rana, tyle godzin, na ławie oskarżonych było bardzo męczące. Ława, to była zwykła deska na nogach, bez jakiegokolwiek oparcia. Nie wróciliśmy w tym dniu na zamek. Nocowałem wówczas w budynku sądu. W celi było nas kilkoro, z różnych procesów. Były m.in. jakieś dwie kobiety

z Włodawy. Dużo ludzi z Włodawy i okolic było w tym czasie więzionych. Następnego dnia po rozprawie odwieziono nas na zamek.

Wracając jeszcze do przebiegu rozprawy i jej wyników, przypominam sobie, że adwokat Bojanowski na sprawie prawie nic nie mówił, tylko notował, jak sekretarz /choć sekretarz też był i pisał/. Krzymowski ciągle zabierał głos, a Bojanowski cicho siedział. Nie byłem na sprawie z tego adwokata zadowolony, nie wiedziałem nawet w pierwszej chwili, kto to jest. Ale, jak się później dowiedziałem, miał on jakieś wejścia, dzięki którym może mi pomógł. W sumie, zespół adwokatów był chyba dobrze dobrany i skuteczny.

Zostałem w końcu uniewinniony. Nie przyznałem się do niczego. Nie byli w stanie nic mi udowodnić, bo sprzyjało mi trochę szczęście. Ci ormowcy, którzy mogli być moimi głównymi oskarżycielami, z placówki w Prawiednikach - Bidaczowie, obrabowali w Czerniejowie sklep spożywczy. Na swoim terenie mocno sobie pozwalali w stosunku do miejscowych ludzi, którzy skarżyli się na ich postępowanie. Myśmy ich trochę przytemperowali i była obawa, że oni nas poważnie obciążą. Rabunku w Czerniejowie dokonali oni zimą z 1946 na 47 rok, w Boże Narodzenie, czy inne święto. Popili sobie chyba wcześniej. Ze sklepu zabrali wódkę, wino, czekolady, cukierki, papierosy. Byli z bronią, widocznie popili jeszcze w sklepie. Kiedy wracali z tym łupem, natknęli się na kogoś wracającego z gości. Saniami jechali mężczyzna i kobieta i rabusie chcieli jadących zatrzymać. Widząc, że to jakaś grupa pijanych i z bronią, jadący dali koniom batem i zaczęli uciekać. Napastnicy zaczęli strzelać i zabili chłopca lub konia. Nie pamiętam już, czy chłop był zabity, a koń postrzelony, czy też odwrotnie. Po tym wydarzeniu ormowcy zaczęli się ukrywać w stodole u Stadnika w Osmolicach, a właściwie u Stadnikowej, bo Stadnik w tym czasie siedział w więzieniu, nawet przez pewien czas razem ze mną w tej samej celi. Dostał chyba dwa lata za jakąś kradzież. Później, po wyjściu z więzienia, opowiadała mi Stadnikowa,

iż ormowcy bardzo żalowali, że nie mogą pójść i zeznać. Ja, po ich zeznaniach, świata bożego bym nie oglądał. Stadnikowa mi to opowiadała, chyba jeszcze żyje, może powtórzyć. Rozmawiałem z nią po wyjściu z więzienia, a mąż jej jeszcze siedział za jakąś kradzież świnii, czy czegoś innego. Tych ormowców, którym powinęła się noga, było chyba pięciu. Pochodzili z Prawiednik i okolicy. Byli tam m.in. Kochański, Stefański, jakieś Wójciki, Sztambory. Wszystkich nazwisk nie pamiętam, ale Sztambor - którego brat był w tej milicji - siedział nawet ze mną w celi. Kiedy szedłem na rozprawę, powiedziałem mu: - „Słuchaj, kochany! Idę na sprawę. Twój brat będzie mnie napewno oskarżał” - bo nie wiedziałem wtedy, że oni się ukrywają, a wiedziałem, że mnie zna i wie, co robiłem. - „Jeżeli mnie twój brat dzisiaj przybije i ja dostanę wyrok, to ty będziesz tutaj wisiał na tej kracie.” Podobno się modlił cały dzień, bo sprawa trwała bardzo długo i dopiero wieczór nas przywieźli. Może i miał szczęście, że wymodlił. Kiedy wróciłem do celi, patrzył na mnie błagalnym wzrokiem, jak baranek przed zarżnięciem, że aż mi go było żal. Powiedziałem mu: - „Nie matw się! Nie było brata, nie oskarżał mnie.”

Dzięki Panu Bogu i ludziom, dzięki swojemu uporowi, bo wierzyłem, że jak się do niczego i do nikogo nie przyznam, to znajdę wyjście z tej opresji. I tym sposobem chodzę po wolności. Ale od rozprawy do wyjścia na wolność minęło jeszcze trochę czasu.

x

x

x

W czasie wspomianej już inspekcji cel, przeprowadzanej przez zastępcę naczelnika więzienia Nesterowicza, stanąłem do apelu i powiedziałem: - „Panie naczelniku! Jestem już po sprawie, proces się skończył, jestem uniewinniony i nie wiem, dla<sup>z</sup>czego ja jeszcze siedzę. W przeciągu siedmiu dni miał się wyrok uprawomocnić, a ja w dalszym ciągu siedzę w więzieniu.” Zapisał mnie.

Za jakiś czas przychodzi jakiś taki młody przedownik i wyczytuje mnie na apelu. Pyta, czy się zgłaszałem. Potwierdziłem, że tak.

Odpowiedział mi wówczas, że ci wszyscy, którzy byli sądzeni, muszą czekać, ponieważ sąd podobno wysłał te sprawy do ponownego rozpatrzenia. Nie można było z nim dyskutować, trzeba było tylko wysłuchać jego odpowiedzi i na tym się kończyło. Byłem uniewinniony i nadal siedziałem, jeszcze śledztwo za mną szło.

I tak siedziałem tydzień za tygodniem, a później i miesiące i myślałem, co zrobić, aby się wydostać na wolność. Wszyscy wypytywali się co ze mną i śmiali się: - „No, i jak Gieniu? Może jakiś łącznik niósł te twoje akta i ktoś go napadł, zabił, a akta wrzucili do studzienki?” Mieli rację żartując, no bo jakże to tak, tyle czasu mija, a żadnej decyzji nie ma. I wtedy sędzia Sowa powiedział mi, że można by napisać prośbę, ale trzeba by znać treść wyroku; byłoby łatwiej napisać. Powiedziałem, że nie mam wyroku, ale kolega ma akt oskarżenia.

Adwokat Krzymowski dał po rozprawie Jasiowi Skwarkowi akt oskarżenia. Jasio schował go za koszulę i przyniósł do celi. Jak nas wieźli z rozprawy, a wracaliśmy razem, bo z jednej sprawy, Jasio powiedział o tym, że ma akt oskarżenia na pamiętkę. - „To trzymaj” - powiedziałem do niego - „może się przyda”.

Ja siedziałem w tym czasie w celi nr 18, Jasio w celi nr 24. Wiedziałem o tym, bo powiedział mi, kiedy nas wieźli z rozprawy. Łazienka była w końcu korytarza za celą 24. Łazienka i ustępy były tak obszerne, iż cała jedna cela, wszyscy więźniowie z celi, miescili się naraz w umywalni i ustępach. W trakcie wychodzenia jednej celi z łazienki, a wchodzenia drugiej, można było - przy odrobinie szczęścia - porozumieć się. Tak się też stało w mojej sprawie. Idąc do umywalni stuknąłem w drzwi celi, w której siedział Skwarek i krzyknąłem, aby zabrał akt oskarżenia. Zatrzymałem się trochę dłużej w ustępie, zrugął mnie za to oddziałowy, mało kluczami nie dostałem, ale Jasio przekazał mi dokument. Przyniosłem go do celi.

Pomogło to poważnie w napisaniu prośby do Sądu Najwyższego w Warszawie. Prośba była bardzo ładnie napisana, chociaż na brzydkim papierze. Pisał mi ją siedzący w tym czasie ze mną w jednej celi Jan Sowa, były sędzia sądu w Janowie Lubelskim. Siedziałem na czwartym oddziale razem z nim i m.in. Kopciem z Kraśnika, z którym zetknąłem się po raz pierwszy na Krótkiej, i o którym już wspominałem. Siedział z nami również adwokat; nazywał się prawdopodobnie Tęcza.

Podanie napisane zostało na papierze z worka po cukrze, czy czymś podobnym. Ktoś przyniósł sobie paczkę w tym worku i wykorzystaliśmy szary papier z niego na przygotowanie prośby. Pisaliśmy, leżąc na cemencie. Ta prośba moja z tego powodu naprawdę na kolanach poszła. W dalszym ciągu w tej prośbie do niczego się nie przyznawałem, pisałem, że niewinnie siedzę i każdy dzień pobytu ujemnie wpływa na moje zdrowie. Pamiętam to do dziś. Pisałem, że do stawianych mi zarzutów i czynów nie poczuwam się.

Za mniej więcej dwa tygodnie po przekazaniu prośby miałem jakąś wiadomość w tej sprawie, ale już nie pamiętam dokładnie jaką. Po tej wiadomości za jakieś trzy dni przyszło zwolnienie, chyba właśnie z Warszawy. Ja pisałem prośbę od siebie, ale zwolnienie przyszło razem dla Jasia i dla mnie. Puścili nas obydwu razem.

Był na naszym oddziale taki młody przodownik, czy zastępca. Nie wiem dokładnie, jaką on funkcję spełniał. To był taki dość przyjemny facet. Miał ondulowane włosy, furażerkę nosił przechyloną na bok. Wydawało mi się, że nie był to najgorszy człowiek. W sumie, trudno jednak powiedzieć, jaki to był człowiek. W tym dniu wyjścia na wolność bolała mnie głowa, serce mi dokuczało. W dzień nie wolno było w celi spać, wszyscy musieli być cały dzień w ruchu. Ja mimo tego położyłem się na pryczach w kącie przy ścianie, bo się fatalnie czułem, a z Judasza nie można było mnie zauważyć, chyba żeby ktoś otworzył drzwi. I wtedy nagle trach, trach, klucz w zamku i wołanie:

- „Sędzicki!” Zerwałem się nagle, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, a ten młody przodownik krzyczy: - „Wyskakuj!” - i jeszcze raz: - „Wyskakuj!” Wyszedłem na korytarz, a on zaczyna mi coś czytać. Nie przychodziło mi do świadomości, co on czyta, nie mogłem się w tym połapać. - „Wiecie, o co chodzi?” - „Nie wiem.” Ten czyta mi jeszcze raz, daje mi czytać, a ja nic nie widzę, co jest na tym papierze, gdzieś mi się tak wszystko rozplywa. Widocznie z tego gwałtownego zerwania i przestraszenia - bo wiadomo, tam nie było żartów, mogli z więźniem zrobić, co chcieli; nikt się z więźniem nie liczył - tak jakoś nie mogłem zrozumieć, o co chodzi.

- „Skwarka tu zawołajcie!” - woła na oddziałowego. - „Skwarka tu poprosić!” Przyszedł Jasio, ten czyta mu papierek i mówi: - „Wytłumaczcie swojemu koledze, bo coś mu nie dociera do świadomości.” Jasio sam czyta, klepnął mnie po ramieniu i mówi: - „Gieniu! Idziemy na wolność.” Ja nie uwierzyłem: - „Co ty takie głupstwa pleciesz!” - „No, tak! Na cele, zbierać się!” - zawołał ten przodownik.

Zaprowadzili Skwarka do jego celi, ja wróciłem do swojej, ale zamiast się zbierać, to łążę. - „Co oni od ciebie chcieli?” - pytają. - „Mówią, że na wolność idę.” - „No, i co?” - „Ja w to nie wierzę. Oni sobie chyba żarty stroją?” A tu na mnie wszyscy: - „Zbieraj się, raz, dwa i nie gadaj!”. Pomogli mi wszystko, co miałem, pozbierać. Zostawiłem buty. Ojciec przysłał mi kiedyś takie buty - - drewniaki, z cholewami. Może dlatego, że były ciepłe, że w murach siedzę, to może reumatyzmu w nich nie dostanę. Ja te buty tylko przymierzyłem i nie chodziłem w nich. Pomyślałem sobie wówczas: - „Mój Ty Boże! Ja mam te buty zedrzeć? To przecież mało życia mojego w tych więziennych murach. Nie zdążę zedrzeć.” No, i te buty właśnie zostały. Koc więzienny, taki duży, chyba wojskowy, kawaleryjski, wełniany, gruby, rozerwałem na pół i dałem połowę takiemu łącznikowi z Poznania, którego nakryła bezpieka z radiostacją nada-

wczą i dostał się tutaj, na zamek. Nazywał się Zygmunt Charewicz. Widzę go; poznał bym go chyba jeszcze dzisiaj, chociaż tyle już lat minęło. Był takim bladym, wymizerowanym człowiekiem, w którym nie było widać kropli krwi. To był miły, inteligentny człowiek. Kiedyś - pamiętam - usiedliśmy obok siebie pod oknem celi i rozmawialiśmy. Ubolewał, że ma synka czteroletniego i nie wie, czy go jeszcze zobaczy. Nie wiem, nie pamiętam dokładnie, co dalej działo się z Charewiczem. Prawdopodobnie dostał karę śmierci, zamienioną w drodze łaski na 15 lat więzienia. Jak długo siedział, czy przeżył więzienie, tego nie wiem.

No, i zabieram się na wolność. W celi było około 130 chłopów, zrobili taki długi szpaler, taki korytarz, każdy sobie z czegoś taką pychę ukręcił i dawali mi wyprawę z więzienia. Musiałem przejść między nimi. Tych uderzeń tyle się dostało i kopa w tyłek, ale każdy wychodzący nie narzekał, a cieszył się z tego. Życzeniem wszystkich było, żeby więcej nie wracał.

Poprowadzili mnie do tej części więzienia, gdzie byli strażnicy, klucznicy i ta cała administracja więzienna. Tam była dyżurka, w której nas przeszukano dokładnie, obejrzano nawet rąbki w koszulach, czy czegoś w nich niema i trzymano nas tam chyba do wybięcia pełnej godziny. Pilnujący nas spoglądał na zegarek raz i drugi, ale ciągle jeszcze nie, i jeszcze nie. W końcu: - „Zabierać się!” - zawołał.

Wyszliśmy za bramy. Te bramy były bardzo nieprzyjemne, takie żelazne i ciężkie, jak do jakiejś twierdzy. Rycerza nie puścili. Miał oddzielną sprawę, m. in. za Żydów. Dostał osiem lat, niewinnie oczywiście. Odchodzimy jak najszybciej i wyprzedzamy się - raz ja za niego, drugi raz on za mnie - bo takie mieliśmy złudzenie, że nas wypuścili, ale za chwilę siekną z bramy za nami. Myśleliśmy, że zostaniemy jeszcze na tej górze zamkowej.

Na dole, na rogu Grodzkiej i Kowalskiej, gdzie jeszcze było mnóstwo powojennych ruin, gdzie ludzie na takiej zielonej górze oczekiwali dniami i nocami na widzenia, na możliwość doręczenia paczek, na tych ruinach domów, murów, czekali na nas z ubraniami: na mnie ojciec, a na Jasia Skwarka jego brat. Ja patrzę na nich. Ten Józio Skwarek opalony, czarny, jakk murzyn. Ojciec też opalony, w koszuli z podwiniętymi rękawami. Patrzę na Jasia, a on biały jak mleko, jak śnieg. Mnie aż nos raził w oczy, taki był blady w słońcu. Oni zdrowi, opaleni, a my przy nich jak z młyna. Mieliśmy pójść gdzieś, coś zjeść, ale ja mówię im, żeby ominąć miasto, przejść jakimiś dziurami. Poszliśmy nad rzeką. Na Wrotkowie była taka knajpka, zjedliśmy coś, oni wypili, a ja nie. Nie mogłem, niedobrze mi się robiło. Może to powietrze mnie upajało? Pamiętam ten urok wolności.

x

x

x

Prawdopodobnie bezpieka prowadziła nadal dochodzenie w mojej sprawie, nie tylko po wyroku, w okresie mego trzymiesięcznego jeszcze pobytu w więzieniu, ale także po moim zwolnieniu, kiedy już byłem w domu. Mówił mi o tym Nowacki z Zemborzyc, który po kilku latach od mojego wyjścia z więzienia, gdzieś na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, pytał się, czy mi dali już spokój. Franciszek Żarnowski z Krężnicy podobnie mnie o to pytał informując jednocześnie, iż bezpieka przepytывała ludzi na mój temat. Nie wiem, czy akurat ich się o to pytano, czy oni wiedzieli to od innych? Obydwaj byli zamożnymi, poważnymi gospodarzami. Możliwe, że UB chciało mi jeszcze coś udowodnić, ale nikt chyba nie chciał mi zaszkodzić, skoro nic nie znaleźli na mnie.

Po wyjściu z więzienia dałem sobie spokój z wszelką działalnością. Nie bardzo się rozjeżdżałem, siedziałem w domu. Zerwałem kontakty z kolegami z konspiracji, których miałem m.i. w Strzeszkowicach, Radawczyku, Babinie. To już nic nie dawało, przestaliśmy wierzyć, że możemy coś zmienić.



Kiedy szedłem do więzienia, były w domu pieniądze, ale na moją obronę ojciec wszystko wytracił i zapożyczył się jeszcze okropnie w Radawczyku, Strzeszkowicach, Krężnicy i u tego Adolka. Dużo tego długu było, szśćset z czymś, a nawet prawie siedemset tysięcy na stare pieniądze. Po wyjściu zacząłem handlować ja i ojciec, mąką i innymi rzeczami, zarobiło się i pospłacało długi.

x

x

x

Dzisiaj, po 45 latach od przedstawionych wydarzeń, zastanawiam się nad ich przebiegiem. Pytano mnie, dlaczego z tej sprawy z ORMOWcami w Prawiednikach i innych naszych działach, zostaliśmy aresztowani we trzech: Rycerz, Skwarek i ja? Dlaczego innych nie ujęto? Czy ktoś nas wydał, a o pozostałych nie wiedzieli?

Z przebiegu wydarzeń i dostępnych dzisiaj dokumentów wiadomo, że władze wiedziały o nas wszystkich, a nie tylko o trzech aresztowanych. Ujęli tych, których udało się ująć, pozostali poprostu nie dali się wówczas schwytać. Wiedzieli o wszystkich, bo poszukiwali innych i nagrody obiecywali za pomoc w ich ujęciu. Nagrody przewidziane były za tych „wartościowszych” zdaniem UB, między innymi za „Skałę” - Stacha Misztala.

Z Misztalami żyliśmy bardzo blisko. Ojciec Władka i Stacha - - Józef Misztal był kumem z moją mamą. Blisko mieszkaliśmy, chowaliśmy się razem, wiedzieliśmy wszystko o sobie. Nie było między nami tajemnic.

„Bór” - Władek Misztal zginął w Warszawie. Zaczął się ukrywać. Rozmawiałem kiedyś z ojcem. Był chyba przy rozmowie matki brat z Krężnicy. Opowiadał mi wówczas ojciec, że kiedyś widział się z Władkiem i namawiał go, by się ujawnił, bo czasy coraz gorsze, szkoda dać się stracić, stłamsić. Ujawniało się wielu ludzi. Władzio bardzo mego ojca lubił, liczył więc ojciec, że wpłynie na niego. Ale Władzio odpowiedział, że się nie ujawni. Wyjechał do Warszawy. Tam wydała go jakaś kobieta. Szanse się kończyły, coraz mniej było miejsc bezpie-

cznych. Przywozili go podobno aresztowanego do Zemborzyc i Krężnicy pod kościoły na platformie, przykutego do burt samochodu. Było to podobno na Gromniczną, chyba się nie mylę? Siedziałem wtedy w więzieniu, a więc było to w 1947 roku. Czy miał proces, gdzie, jaki dostał wyrok, jak zginął, tego nie wiem. Dowiedziałem się tylko, że oddali rodzinie jego rzeczy, ubranie. Wiem to tylko z opowiadań innych ludzi, bo sam byłem w tym czasie w więzieniu.

Po aresztowaniu Władka aresztowani zostali Kwiecień z za Krężnicy i Sieńko. Ludzie wiązali to z aresztowaniem „Bora”. Może nie wytrzymał, może wymusili na nim, a może nie od niego dowiedzieli się? Któż to dzisiaj może wiedzieć? Kwiecień zginął w więzieniu, Sieńko chyba też. Trudno jednak na podstawie ludzkich opowiadań i przypuszczeń ustalić prawdę. Ja przy tym nie byłem.